

Kwiat paproci



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

BAJKI I POWIASTKI

Kwiat paproci

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tem szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drewna jasno palą i wesoło potrzaskują, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatusek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia aby na nią trafić.

Ci co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, niedopuszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat.

Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznac trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności i jasności kielich.

Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuszka, i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z posłuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewna, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał co zechce.

Pomyśli tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet.

Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać i to rękami czystymi.

Stary człowiek choćby nań trafił, to mu się w palcach w pruchno rozsypie.

Tak ludzie bają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzkie w różne szmatki to jąderko, że często go dopatrzeć trudno, ale taki ono jest.

I z tym kwiatkiem to jedno pewna, że on nocą św. Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnął... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, za ba-i — bardzo miał, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić, — stara niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła powiadać o tym kwiecie paproci...

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zaszuchał, że mu aż kij z rąk wypadł a kozikiem sobie omal palców nie pozarzywał.

Niemczycha o kwiecie paproci rozpowiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała, — choć po jej lachmanach szczęścia nie było znać. Gdy skończyła, Jacuś powiedział sobie: — niech się dzieje co chce a ja kwiatu tego muszę dostać.

Dostanę go, bo człowiek kiedy chce mocno, a powie sobie że musi to być, zawsze w końcu na swoim postawi.

Jacuś to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia, z ogrodem i polem — był niedaleko las, i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ogień palono w noc świętojańską.

Powiedział sobie Jacuś: — gdy drudzy będą przez ogień skakali i łydki sobie parzyli, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci, i będę chodził póty, aż go wyszukam, i zdobędę.

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc, i o niczem nie myślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Naostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała, ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacuś się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy łapcie lipowe nienoszone, czapeczkę z pawiem piórkiem, i jak tylko pora nadeszła a mrok zapadł, szmyrgnął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna, z mrugającymi gwiazdkami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było pożytku.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu, i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb, — osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne. Pnie drzew zrobiły się ogromnie grube, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie bywało; pokrzywy piekły, osty kęsały. Ciemno, choć oczy wykół, a wśród tych mroków gęstych, coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzy na niego, jakby go zjeść chciały, a mienia się żółto, zielono, czerwono, białe, i — nagle migną i gasną. Oczu tych na prawo, na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacuś się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały i pomrukiwał że to strachy na lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! To mu kłoda drogę zawałiła, to on przez nią się przewalił. Drapie się, drapie, a gdy na wierzch wlaź i ma się spuścić, patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić.

Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca niema, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wkoło niego, idzie, aż gdy obszedł, patrzy, a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można...

Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwodnictwo nieczystej siły.

Potem stanęły na drodze gęszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć, ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, zamachnął: zdusił je, zmiotosił, połamał i przedarł się szczęśliwie...

Idzie, aż moczar i błoto. Obejść ani sposób; spróbował nogą, grzęźnie, że ani dna dostać. Gdzieniedzie kępiny wystają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona z pod stóp wysuwa, ale jak począł biedz, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępiny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją się... Dalej już, choć kręto i bez drogi, szło mu łatwiej, tylko się tak obłąkał, że gdyby mu przyszło powiedzieć którędy nazad do wsi, jużby nie umiał rozpoznać w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny kwiat paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liściu jego u spodu, świeci się gdyby brylant kwiatusek jak przylepiony... Pięć w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło... Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął, i już miał pochwycić kwiat, gdy nie wiedzieć skąd, jak... kogut zapiał: kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął niemi — zgasnął. Śmiechy tylko dały się słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały tak, czy się co śmiało, czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię.

Potem już nie wiedział co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesie, nad ranem pół żywego znalazła.

Jacuś sobie teraz wszystko dobrze przypominał, ale do niczego się nie przyznał. Wstyd mu było. Powiedział sobie tylko, że na tem nie koniec, przyjdzie drugi św. Jan, zobaczymy...

Przez cały rok tylko o tem dumał, ale żeby się z niego ludzie nie naśmiewali, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nienoszone, — i gdy drudzy do ogniw szli, on w las.

Myślał że znowu mu przyjdzie się przedzierać jak pierwszym razem, aż ten sam las i taż sama droga zrobiła się zupełnie inną. Wysmukłe sosny i dęby stały porozstawiane szeroko, na gołym polu kamieniami posianem... Od jednego drzewa do drugiego iść

było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekał od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porosłe, ślizkie, choć leżały nieruchome, jakby z ziemi wyrastały. Pomiędzy nimi paproci stało różnej, małej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki, potem do kolan, aż w pas, dalej po szyję i utonął w niej nareszcie, bo go przerosła... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słycać było, niby jęk i płacze. Na którą nogą stąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca a szedł dalej.

Naostatek... patrzy, świeci zdala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w pośrodku oko obraca się jak młyn...

Jacusz podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiały i znikło widzenie.

Ale już teraz nie padł, ani omdlał, tylko siadł na kamieniu. Z początku na lzy mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuł i zburzyło się w nim wszystko.

— Do trzech razy sztuka! — zawołał z gniewem... A że zmęczonym się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął.

Ledwie oczy zmrużył, gdy mu się marzyć poczęło. Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

— A co? masz już dosyć, mówi do niego, będziesz ty mnie prześladował?

— Com raz powiedział, to się musi stać, mruknął Jacusz, — na tem nie koniec, będę cię miał!

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak jęczyzek, i Jacusiowi się wydało jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomym miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski i sam nie wiedział już czy to co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą. Powróciwszy do chaty, zmęczonym się tylko czuł tak, że położyć się musiał i matuś mówiła mu, że wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Przez cały rok, nic nie mówiąc nikomu, myślał ciągle jakby tego dokazać, żeby kwiatu dostać? — Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dolę, lub niedolę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nienoszone, i choć go matka nie puszczała, jak tylko zciemniało, pobiegł do lasu.

Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze pospolitych dni, nic się już w nim nie mieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał, a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomymi ścieżkami dostać się daleko, daleko w gąszcze, gdzie pamiętał dobrze, że paprocie rosły... Znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu.

Po jednych laziły robaki, na drugich spały gąsienice, innych liście były poschłe. Już miał Jacusz z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy — tuż pod nogami zobaczył kwiatek. Pięć listków miał złotych a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiękło go jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnąć mu poczynał, a taką jasność miał, że Jacusz musiał powieki przymknąć, bo go oślepiła. Wcisnął go zaraz za pazuchę, pod lewą ręką na serce... wtem głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie — szczęście to twoje, ale pamiętaj o tem, że kto mnie ma, ten wszystko może co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...

Jacusiowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał. — A! co mi tam! rzekł w duchu, byle mnie na świecie dobrze było...

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przylgnął, przyrósł i w serce zapuścił korzonki... Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo mu go odebrano.

Z czapczką na bakier, podśpiewując, powracał nazad. — Droga przed nim świeciła jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchyłały, kwiaty które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpił i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się u kraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznaney...

Spojrząwszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach — kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacús nie wątpił, że do pałacu go wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz był u ganku, na którym służba liczna czekała...

Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby poprzestraszane i pełne trwogi.

Miał za to na co patrzeć, wszedłszy do środka... Strach, co to był za przepych i jaki dostatek — tylko ptasiego mleka brakło.

— No! będę teraz używał! — mówił Jacús i opatrzywszy kąty wszystkie, naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał, po tej nocy pracowite. W puchu jak legł na białej cieniutkiej, przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął — sam nie wiedział ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało.

Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacús pomyślał to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, poczawszy jeść a popijać, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyśleć i smak stracił do jadła.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był zasadzony takimi drzewami, na których kwiatów było pełno razem i owoców; a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, z drugiej do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacús chodził, usta otwierał dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałem, że nigdzie swojej znajomej okolicy, ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski — dopatrzeć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi, ale — ot tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wokoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli, a kłaniać mu nisko, a co tylko zażądał spełniać i prawić mu takie słodcze, że po nich tylko się było obliżywać — Jacús o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, djamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zapagnęła, choć były zrobione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacús: — miły Boże, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą posłać ojcu i matysi, braciom i siostram, żeby sobie pola przykupili, albo chudoby, — ale wiedział o tem, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić niem nie godziło, bo zarazby wszystko przepadło.

— Mój miły Boże! — rzekł sobie w duchu, — co ja mam się o kogo troszczyć, albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było.

I tak żył sobie Jacús dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę.

Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowate, a kare na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki z za morza, aż w końcu sprzykrzyło się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepę, a po jarząbkach, schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło, bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tem było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadło ani siekiery, wzięć, ani grabi i rydła. Nudzić się zaczynał wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok i drugi, — wszystko miał czego dusza zapagnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem tak głupie, że mu życie brzydło.

Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a ją wspominał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką — i siadłszy do powozu pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr i nie patrząc się, gdy zatrzymały się przed znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi lzy się z oczu puściły.

Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszym wydawało.

Żłób stary przy studni, pieniek na którym drewno rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara przygarbiona niewiasta, w zasmolonej koszuli, z obawą spoglądając na powóz, który się przed chatą zatrzymał.

Jacusz wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle, przysiadając na tyle i ani myślał poznać.

Jacusz postąpił ku chacie, w progu jej wsparta o uszak drzwi, stała matka, wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzzonego domyślać.

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkiem.

— Matuś, — zawołał — ta toć ja, wasz Jacek!

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skierowała ku niemu i stała oniemiała. Potrząsnęła potem głową.

— Jacusz! wolne żarty, jasnie panie! Tamtego już na świecie niema. Gdyby żył, toćby przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

— Gdzietam! gdzietam! — rzekła. — Jacusz mój miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, z którymby się nie mógł podzielić ze swoimi. Zasromił się mocno Jacusz, oczy spuścił... Kieszenie miał pełniuteńkie złota — ale co ręką sięgnął, ażeby garść jego rzucić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić...

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała..

Poza nią zbierało się rodzeństwo, pokazała się głowa ojca... Jacusiowi serce miękło, ale jak spojrzął na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało i czuł, że kwiat paproci leżał na niem, jak pancierz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa; nie patrząc i wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać napowrót do rajcu.

Ale co się w nim i z nim działo, tego żaden język nie wypowie, żadne pióro nie opisze. Słowa starej matki, że niema szczęścia dla człowieka jeżeli się niem dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu, kazał kapeli grać, panom swoim tańcować zastawić stoły — upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczyć, ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotnym...

Przez cały rok, choć, jak zwykle we wszystko opływał, w gębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał...

Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty...

Spojrzął, wszystko jak było, żłób, pieniek, dach, drabina, wrota i Burek z sierścią najeżoną — ale stara matka nie wyszła. W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego Maciek...

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — rzekł malec wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwycił, wszedł Jacusz do chaty. Stara matka stękając, leżała w kątku na łóżeczku. Podeszedł do niej Jacusz... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać się nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgnął do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci.

Niegodziwy Jacusz począł mędrkować.

— Starej już się niewiele na świecie należy, a jam młody. Ona się długo męczyć nie będzie... a przedemną... życie, świat, panowanie.

I wyrwał się z chaty do powozu a z nim do pałacu; ale przybywszy tu, zamknął się i płakał.

Pod żelaznym pancerzem na piersiach, który włożył na nie kwiat paproci, związane i skrępowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce.

Więc kazał kapeli grać, a dworni skakać i pić zaczął, aby je zagłuszyć.

Chwilami zdawało się, że go już nie słyszać, a potem — jak wrzasło, Jacuś o mało nie oszalał. Ale nazajutrz i dni następnych ani na moment nie spoczywając, durzył się ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, słuchał wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało:

„Niema szczęścia dla człowieka, jeżeli się niem z drugimi podzielić nie może”!

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczypa, wyżółkł, jak wosk — i w tem swoim dostatku i szczęściu męczył się nie do zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsennej, nakładwszy złota w kieszenie, kazał się wieźć do chaty.

Miał to postanowienie, choćby wszystko stracił, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje co chce! — mówił — niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem; żłób stary u studni, pieniek, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było...

Jacuś pobiegł do drzwi — stoły kołkiem podparte; — zajrzał przez okno, chata była pusta...

Wtem żebrak, stojący u płotu, wołać nań zaczął:

— A czego tam szukacie, jasny panie... Chata, wszystko pomarło z biedy, z głodu i choroby...

Jakby skamieniały, stał ów szczęśliwiec u progu — stał, stał...

— Z mojej winy zginęli oni, — rzekł w duchu, — niechże i ja ginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła i zniknął, — a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać po świecie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kwiat-paproci>

Tekst opracowany na podstawie: Bajki i powiastki Stanisława Jachowicza i Ignacego Kraszewskiego z 10-ma rycinami, nakł. Księgarni Dra Maksymiljana Bodeka, Lwów 1924.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.